

MALINA PRZEŚLUGA

ANIMARIUM

TOM.
II.

PSZCZOŁY I PŁOMIENIE

dwie siostry

MALINA PRZEŚLUGA
ANIMARIUM



PSZCZOŁY I PŁOMIENIE



Wydawnictwo Dwie Siostry
Warszawa 2026

Dla mojego Leo



IEBO NIE MA KOLORU. I ziemia jest bezbarwna. Cały świat wygląda, jakby był narysowany węglem. Czerń i szarość, szarość i czerń. W powietrzu drgają drobiny popiołu. Unoszą się z najmniejszym podmuchem wiatru, a potem miękko opadają, okrywając wszystko czarnym, gorącym kocem. Jedna zatrzymuje się właśnie na rzęsach Leo, chyba- czy się chwilę, jakby nie mogąc się zdecydować, czy skończyć lot, czy pofrunąć dalej. W końcu przylega do kącika oka, łączy się ze łzą i ją też barwi na czarno.

Leo tego nie czuje, bo nie czuje nic prócz bólu. Stoi pośrodku szarości i patrzy na śmierć. Stał tak zawsze i będzie stał bez końca, bo niczego innego nie było, nie ma i nie będzie. Ból nie pali go od wewnątrz, bo dawno już go spalił i zamienił w zgliszczu. Teraz on sam jest bólem, który nigdy się nie skończy.

Spopielające drobiny osiadają mu we włosach, na ramionach, na twarzy. Czerń i szarość, szarość i czerń.



LORA IDZIE DOOOBRZEEEE? – spytał po raz piętnasty Kołpak.

– Flora idzie bardzo dobrze, nie jest zmęczona i nie chce na ręce – odpowiedziała dziewczynka.

Szli już dosyć długo, to znaczy ona i Kołpak, który niósł resztę ich niezwykłej ekipy. Leo, ubrany w trzy bluzy i otulony dwoma śpiworami, leżał jak niemowlę w stalowych ramionach Kołpaka. Kwiat Poznania wraz ze sporą bryłą ziemi tkwił bezpiecznie w betoniarkowym brzuchu giganta i bez przerwy komentował wszystko, co mijali. Plecaki bujały się na kołpakowych uszach i z całą pewnością drzemały. Kotka Hipolita zadowolona się zaś czubkiem głowy aniresa, rozłożywszy się jakoś po kocemu między rzędem ostrych gwoździ a dwiema żarówkami, czyli oczami Kołpaka. Być może to przez te rozgrzane żarówki upatrzyła sobie właśnie to miejsce, a jej kołyszący się rytmicznie ogon raz po raz przysłał Kołpakowi widok. Nie przeszkadzało mu to jednak w żaden sposób. Przeszkadzało mu natomiast, że jego Twórcielka idzie pieszo. Miał właśnie

po raz szesnasty ją spytać, czy nie chce być niesiona, ale ubiegł go Kwiat, wrzeszcząc nagle:

– Aaaaa! Mamo!!! Tam! Tam! Co to jest?!

Wszyscy poza Leo spojrzeli w kierunku, który wskazywał. Wyrwane ze snu plecaki i kotka, wystraszona Florentyna i nieporuszony jak zawsze Kołpak ujrzeli kolorowy kształt unoszący się kawałek dalej nad plażą. Dziewczynka westchnęła.

– To latawiec – odpowiedziała. – Taka zabawka do puszczenia na wietrze.

– Mamo, to jest najpiękniejsze, najwspanialsze i najbardziej niesamowite coś, co w życiu widziałem! – stwierdził z przekonaniem Kwiat, tak jakby minutę temu nie powiedział tego samego o rowerze, chwilę wcześniej o szlabanie, starej oponie leżącej obok ścieżki, jeszcze jednym rowerze oraz szklanej butelce, którą jakiś turysta zgubił w lesie.

– Cieszę się – powiedziała Flora i po chwili namysłu dodała: – A czy nie mógłbyś nazywać mnie inaczej niż mamą?

– Mógłbym, no jasne! Ale Ogrodniczka Światła jest przydługawe.

– Hmm... To może wymyśl jeszcze coś innego? – podsunęła Florentyna.

– Dobra! Ale co... – Kwiat zafalował płatkami. Robił tak, gdy intensywnie myślał. W końcu zawołał: – Mam! To będzie dobre, uważaj... Ogrotła!

– Ogrotła? – powtórzyła Flora.

– Tak! Połączyłem ze sobą „Ogrodniczka” i „Światła”. Co? Nadal za długie? No pewnie, że za długie. – Zasepił się. – To może: Ogtrła? Albo Ogła?

– Oła... – mruknęła Hipolita.

– Oła! – ucieszył się Kwiat i powtórzył kilka razy: – Oła, Oła, Oła... Nie. Brzmi, jakbym się uderzył.

– No coś ty! – prychnęła kotka.

– Wiesz, chyba wołałabym... – zaczęła Flora.

– Mam! Zamienimy „l” na „r” i będzie Ora. Ora. Dobrze brzmi, co nie? Ora?

– To może Flora? – zaproponowała dziewczynka.

– Fl-Ora? – zdziwił się Kwiat. – A skąd to „Fl”? Nie było „Fl”.

– Bo tak mam na imię.

– Masz na imię Fl? Ale głupio. To w ogóle nie brzmi jak imię. Dlaczego miałbym...

– Floooraaa! – nie wytrzymał Kołpak.

Kwiat zamilkł na moment. Był to krótki, ale piękny moment absolutnej ciszy, na którą wszyscy czekali. Niestety, szybko się skończył.

– No tak, jasne. Ja to wiedziałem, ale po prostu zapomniałem – zaczął Kwiat. – No co! Tyle się dzieje! Całe to życie, wasz świat, moja ruchomość, to, że mam własnego Ogrodnika, a nawet dwóch... – Kwiat zerknął na trzęsącego się z zimna,

nieobecnego duchem Leo i zmarkotniał – ...a może jednego... Och nie, przepraszam, ja... Ojej, tak mi okropnie przykro! Aja-jaj, dlaczego tak powiedziałem?! Przecież jest was dwoje, jestem taki... Taki...

Kwiat nie dokończył, tylko rozplakał się jak dziecko, a że był to już czwarty napad płaczu w ciągu minionej godziny, Florentyna pogładziła go tylko po listkach i powiedziała:

– Już, już.

Spojrzała na Leo. Jego ramię wysunęło się ze śpiwora i zwisało bezwładnie. Flora zatrzymała Kołpaka i delikatnie chwyciła dłoń przyjaciela. Była lodowata.

Dziewczynka poczuła ścisk w gardle, ale po nim przyplływ zupełnie nowej siły.

„Uratuję cię” – pomyślała. „Już za kilka dni zeżresz moją czekoladę, a ja cię za to ochrzanię. Będziesz podskakiwał bez powodu, udawał, że znasz się na wszystkim i niczego nie boisz, a ja będę z tego drwiła. Będziesz szedł za mną, skrobał mi marchewki i mówił, że to niechący, ale jak znajdę we włosach pajaka i zacznę się miotać, to najpierw złapiesz mnie za ramiona, potem go ze mnie zdejmiesz i chociaż spróbujesz mnie nim trochę postraszyć, to w końcu odłożysz go gdzieś z dala ode mnie, nie robiąc mu krzywdy... Zmienisz się w gołębia i narobisz na głowę, komu tylko będziesz chciał i... usiądziemy na krawężniku pod naszym domem i zjemy lody. Ja czekoladowe,

a ty waniliowe. Po trzy gałki. I... wrócisz tu, Leo. Obiecuję, że do mnie wrócisz”.

Wyjęła z kieszeni pogniecioną kartkę z zeszytu w linie.

Nie wysyłałam listu, bo nie wiem już, kto jest po naszej stronie.

Tutaj, gdzie jestem, nie jest bezpiecznie. Spotkajmy się gdzie indziej.

Będę na was czekać w Helu, przy Bałtyckiej 4.

Bura Mistrzyni

Tam właśnie szli. Do miasta Hel na samym końcu Półwyspu Helskiego, bo podobno tam czeka na nich teraz Bura Mistrzyni. Ona na pewno wie, jak pomóc Leo. Wyleczy go, a potem zostaną u niej tyle, ile trzeba, Kwiat wyda owoce, a wraz z nimi nasiona, dzięki którym Animarium i ludzki świat połączą się na nowo. Flora była pewna, że muszą po prostu dojść do Mistrzyni, a wszystko się ułoży. Pamiętała, jak bezpiecznie się u niej czuła. A właściwie w niej. Ciekawe, czy przy Bałtyckiej 4 w Helu stoi teraz szara kamienica z poznańskiego Placu Bernardyńskiego. Dowiedzą się tego, gdy tylko... no właśnie. Gdy tylko tam dojdą? Gdynię od Helu dzieli osiemdziesiąt kilometrów. I raczej nie pojadą pociągiem, bo choć Kołpak jest niewidoczny dla zwykłych ludzi, musiałby przecież się w ten pociąg zmieścić. Nie mówiąc o Leo, który czasem idzie sam, gdy jest popychany, ale najczęściej po prostu stoi, siada lub nawet się kładzie, a wtedy

jest nie do ruszenia. Do tego wciąż się trzęsie i jest półprzytomny, wzięliby go za chorego i zamknęli w szpitalu. Niesiony przez Kołpaka pozostawał niewidoczny. A zatem muszą te osiemdziesiąt kilometrów pokonać piechotą. I pewnie już niedługo przyjdzie moment, w którym Kołpak będzie niósł też Florę.

Ale jeszcze nie teraz. Póki może, będzie szła o własnych siłach. Wielkolud i tak miał już sporo do dźwigania. Szkoda, że nie udało się zatrzymać Piewika. Owad, gdy tylko upewnił się, że są bezpieczni, wrócił do Burej Mistrzyni. Kotka wyjaśniła, że jest teraz jej strażnikiem i nie może zostawiać jej samej. Ale ileż by to ułatwiło, gdyby na jego grzbiecie mogli po prostu przefrunąć nad morzem... W linii prostej to przecież blisko. W linii prostej przez morze... Florentyna zatrzymała się gwałtownie, a potem palnęła otwartą dłońią w czoło.

– Prom! – wykrzyknęła. – Jak mogłam na to nie wpasć... Idziemy do portu.

Kołpak posłusznie skręcił w kierunku portu, jego pasażerowie też nie protestowali. Lo Zaino i La Zaina, czyli małżeństwo włoskich plecaków, już nie spali. Cieszyli się teraz na czekające ich u Burej Mistrzyni przyjemności.

– Och, nasza rzeźbiona szafa, zapomniałam już, jak wygląda! Wyobrażasz sobie, najdroższy, już niedługo nas opróżnią, przewiną na lewą stronę i porządnie wytrzepią – rozmarzyła się La Zaina.

– Oj tak, kochana, przetrzepią nam skórę aż miło! – wtórował jej Lo Zaino.

– A potem dobrze wyszczotkują...

– Wypchają...

– I powiesz! – zakrzyknęli razem w zachwycie.

La Zaina zatrzepotała sprzączkami.

Hipolita prychnęła lekceważąco, jednak było widać po jej zmrużonych ze zmęczenia bursztynowych oczach, że ona także chętnie znalazłaby się w przytulnych progach Mistrzyni. Przed nimi wiele do zrobienia, ale nikt o zdrowych zmysłach nie odmówi kotu miski przysmaczków i chwilki spokoju przy piecu. Lub piekarniku.



A WIDOK WODY z tak bliska kotce zrzędlą mina. Stali na skraju betonowego nabrzeża i czekali na pierwszy prom płynący z Gdyni na Hel. Na szczęście podczas tej podróży Hipolita nie będzie musiała dotknąć wody, właściwie nie będzie musiała nawet jej widzieć. Postanowiła, że całą podróż spędzi

dzi pod pokładem. Znajdzie ciepły kąt blisko silników i prześpi ten etap. Należał jej się długi sen, bo choć ślady po zębach roso-maka już prawie nie bolały, wciąż czuła w ciele skutki spotkania ze stertą kamieni z nasypu kolejowego, które zrzucił na nią ten parszywiec Ber. Kazał się nazywać panem Berem, jak jakiś staro-świecki dżentelmen, a okazał się podłym zdrajcą. Kotka żałowała, że przy pierwszej okazji go nie zjadła. Gdyby to zrobiła, Leo nie byłby teraz Zimnym, Bura Mistrzyni nie musiałaby uciekać, a ona mogłaby dalej pomieszkiwać u pani Grażynki, pozwalając nazywać się Bubą, dostawać dwa razy dziennie puszczkę karmy i wygrzewać się na balkonie... Lecz, jak to mówią koty, nie żyje się raz. I może jeszcze będzie mogła poleniuchować w płamie słońca. Ale teraz... choć ciężko jej było to przyznać, naprawdę chciała pomóc Florentynie wychodować ten paplający kwiat i uratować Leo. Koty rzadko w cokolwiek się angażują, jednak na dystans było już za późno. Hipolita przeciągnęła się, wbijając pazurki w głowę Kołpaka. Raczej mu to nie przeszkadzało, a w każdym razie się nie skarżył.

Nagle woda pod nimi zafalowała, a pod powierzchnią pojawił się cień. Coś dużego i ciemnego wynurzało się z morza. Kołpak i Flora odskoczyli, gdy wysoka fala uderzyła o nabrzeże. Taflę przecięło wielkie i śliskie ciemnoszare cielsko, zobaczyli długi, ciemny pysk, a sekundę później dał się słyszeć piskliwy szczebiot:

– Ach jejciu, złotka moje, ochlapałam was? No tak mi przykro, starałam się być ostrożna, taka ze mnie wielgachna gapcia, do prawdy...

– ...Irusia? – rozpromieniła się Florentyna.

– No tak, serce, a któż by inny! Miałam już ruszać w drogę do północnych cieśnin... Zbyttno się zagadałam z moim starym druhem morświnem... Ale wypatrzyłam cię, jak stoisz taka sama i smutna na brzegu, a twój chłopiec spoczywa na ramionach tego... – omiotła niepewnym spojrzeniem brzeszczoty, gwoździe i rączki lalek wystające z szyi Kołpaka – uroczego anireska... Czy Leonkowi dolega coś poważnego? Może mogłabym...

– Jest Zimnym – wyjaśniła Florentyna.

Irusia zamilkła. Przez chwilę patrzyła na Leo ze smutkiem, potem zamrugła szybko wielkimi wielorybimi oczami i powiedziała:

– No więc, dzieci kochane, pomyślałam, że zapytam, czy aby w czymś wam nie pomóc. Mogłabym znów zmienić się w miłą panienkę i pójść z wami coś załatwić jako ubrana dorosła albo wrócić na chwilę do postaci myszy i... i... ach, zupełnie nie wiem, do czego może się przydać mysz – urwała bezradnie.

– Nie zmieniaj postaci – uśmiechnęła się Flora. – Przydasz się nam jako płetwal.



Podróż na płetwalu nie należała może do najwygodniejszych, ale na pewno była jedną z bardziej emocjonujących. Grzbiet Irusi był śliski i gdyby nie długi kończyny Kołpaka, który objął ją mocno nogami, wszyscy prędko powpadaliby do morza. Plecaki dyndały wesoło na uszach aniresa, Florka usadowiła się przed nim. Jedną ręką obejmowała w pasie siedzącego przed nią Leo, który kołysał się bezwładnie ze zwieszoną głową i pustym wyrazem twarzy. Kwiat trzymał się dzielnie we wnętrzu betoniarki, natomiast Hipolita, nie pytając o zgodę, ukryła się w La Zainie i poprosiła cicho, by zapiąć wszystkie zamki. I choć oczywiście nigdy nikomu się do tego nie przyzna, przez całą drogę miauczała jak mały kociak.

Irusia pruć woda szybko jak strzała, starając się zaledwie nie zanurzać i umilając im drogę rozmową. Kiedy coś mówiła, wynurzała pysk, przez co tył jej ciała odchylał się w dół, a pasażerowie zaczynali się zsuwać. Dlatego Flora, mimo zapierających dech rozbryzgów, starała się mówić jak najwięcej i jak najrzadziej dopuszczać przyjaciółkę do głosu.

– Och jejku, no coś takiego! Czyli mówisz, że te paskudy napuściły na was wizję z płonąca stodoła! – dziwiła się Irusia. – A to mi, wiesz, kochanie, przypomina taką piosenkę sprzed lat! To ja ją wam zaśpiewam, bo przecież piosenki umilają podróż! „Mówią, płonie stodoła, płonie, aż strach. Trzeszczy wszystko dokoła, ściany i dach!”

Płetwalica wynurzała się, a jej pasażerowie zjeżdżali do wody.

– Znam, znam tę piosenkę! – zawołała prędko Florentyna i skłamała: – Bardzo jej nie lubię, więc proszę, nie śpiewaj już.

Irusia posłusznie umilkła i zanurzyła łeb. Florka mówiła dalej, byle zostać przy głosie:

– No i wiesz, Irusiu, jakimś sposobem udało nam się te fatamorgi pokonać, choć tym razem nikt nam nie pomagał. Wielkie szczypce prawie mnie przecięły na pół, a Leośka trzymał w szponach ten koszmarny dom. Wszystko płonęło i naprawdę czuliśmy ból, choć wiem, że tam przecież nic nie działo się naprawdę... Ale w jednej chwili to się skończyło... Tak, a potem Leo chciał połączyć się z Kwiatem, tylko że przeszkodził mu pan Ber, to znaczy Ber, bo nie zasługuje na „pan”, i wtedy przyszedł Pożoga, no i dopiero się zaczęło...

– Co ty opowiadasz, dziecko! – przerwała jej Irusia. – Sam Pożoga we własnej osobie?

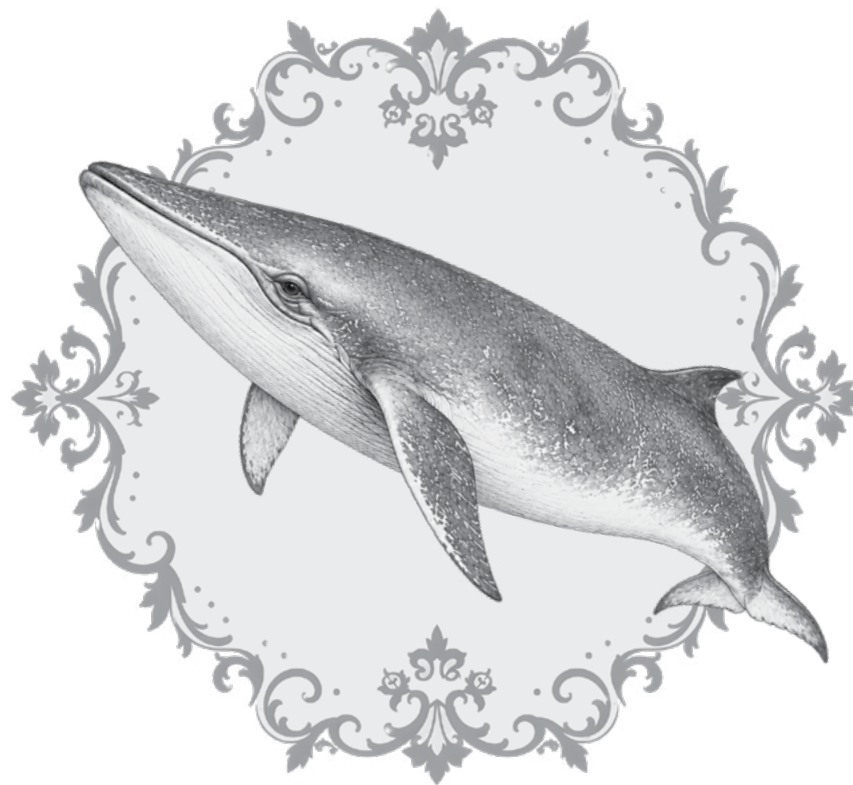
– Aha.

– Widziałas go?

– Wszyscy go widzieliśmy. Choć właściwie nie wiem, czy to był prawdziwy on... – zastanowiła się dziewczynka.

– Wyglądał jak żywy ogień? Rzucał iskry i parzyło samo patrzeć na niego?

– Był raczej jak tłący się płomyk... Ale kiedy się na niego patrzyło, to... bolało.



– Z całą pewnością to był on – stwierdziła poważnie Irusia. – Ale jak udało wam się go pokonać?

– Nie wiem, on po prostu... sobie poszedł. Zniknął.

– Czyli wróci – skwitowała pletwalica. – Skaranie boskie, niełatwe do wytępienia. Ale musieliście zdrowo go pogonić, że odpuścił! No mów, złotko, co zrobiłaś. Złałaś go wodą? Ha, ha! Przydałby mu się śmigus-dyngus. A może... czekaj! Naplułaś na drania?

– Nie, ja tylko...

– Och, skarbie, wybac mi, taka jestem wścibska babcia, gadam i gadam, zamiast dać ci mówić. A co ty tak daleko z tyłu? Dziecko drogie? Nie baw się w zjeżdżalnię, jesteśmy na morzu, tu jest niebezpiecznie! No ale mów, rybeńko, mów, mów. Co zrobiłaś, że zwiął?

– Ja tylko dotknęłam Kwiatu – wyjaśniła Flora, gdy Kołpak ponownie wdrapał się wyżej. – Okazało się, że też jestem Ogrodniczką Światła. A wtedy ten Pożoga...

– Zaraz, zaraz! – przerwała Irusia. – Czy ty chcesz mi powiedzieć, że Kwiat Poznania wybrał sobie Opiekuna i że... O rety, trzymajcie mnie! Że to ty jesteś, moje dziecko?

– Ja i Leo... No tak jakoś wyszło – przyznała dziewczynka.

– O matko waleńska! A to ci nowina! – Irusia z wrażenia puściła fontannę z nozdrzy na czubku głowy i zrobiła pasażerom prysznic. – Ale skoro tak, to... Gdzież on teraz jest? Ten kwiatek?

– Dzień dobry – odezwał się ze swojej betoniarkowej doniczki Kwiat Poznania.

– A niech mnie harpun trafi! Toż ja przyszłość Animarium wiozę na grzbiecie, a wy mi nic nie mówicie? Przecież gdybym wiedziała, to, to, to... No nie wiem, może mogłabym szybciej płynąć?

– Nie! – krzyknęli wszyscy naraz, a najgłośniejszy kotka z wnętrza plecaka.

– Tak jest super, Irusiu, naprawdę – powiedziała szybko Florentyna. – Bardzo nam pomagasz.

– Dziękuję, drogie dziecko, och, opłacało się jednak zostać w porcie na tych pogaduchach z morświnem... A czy wy wiecie, że on się znowu ożenił?

Na szczęście Irusia nie zdążyła się rozgadać na temat trzeciej małżonki morświna, bo właśnie dopływali do przystani w Helu.



ORT W NAJDALEJ WYSUNIĘTYM PUNKCIE Półwyspu Helskiego przywitał ich spokojnie. Prawie nie

było ludzi, przepędziła ich pewnie pogoda, bo gromadzące się chmury zwiastowały deszcz, do tego wiał silny wiatr. Przycumowane do nabrzeża stateczki turystyczne bujały się na falach. Pojawienie się w ich towarzystwie sporych rozmiarów walenia z pasażerami zrobiło na nich niewielkie wrażenie, bo były pochłonięte rozmową.

Największy z nich, z wrytym w drewnie imieniem „Helios Hel”, kończył właśnie monolog:

– ...I tak to, kamraci, ze mną było, kiedy szliśmy przez Pacyfik.

Pozostałe statki odpowiedziały mu tradycyjnym marynarskim okrzykiem:

– Way, hey, roluj go!

– Taaak... – ciągnął Helios. – Zwiało nam z pokładu skrzynki pełne śledzia i sardynki, taki był cholerny sztorm...

Florze zabrzmiało to znajomo.

– Hej, czy to nie jest przypadkiem fragment piosenki? – spytała. Przypomniała sobie, że Adam, jej tata, uczył ją takiej zabawnej marynarskiej pieśni, gdy chodziła do przedszkola. Statki zupełnie zignorowały jej pytanie.

– A ja pamiętam, jak na brzegach Hiszpanii witały nas hiszpańskie dziewczyny – rozmarzył się zielono-brązowy stateczek imitujący okręt piracki, o wdzięcznym imieniu „Kapitan Morgan”. – Ale żegnajcie nam dziś, marzenia ze snów...

Reszta statków rozkołysała się i odpowiedziała chórem:

– Ku brzegom angielskim już ruszać nam pora, lecz kiedyś na pewno wrócimy tam znów!

„Kapitan Morgan” odkrzyknął gromkie: „Heja!” i wszystkie stateczki westchnęły z zadumą.

– Czy one naprawdę będą teraz płynąć do Anglii? A wcześniej były w Hiszpanii i na Pacyfiku? – spytała zdziwiona Flora. – Myślałam, że kursują tylko do Trójmiasta...

– Bo tak jest – uśmiechnęła się Irusia. – Ale kto nie lubi żyć marzeniami?

– Koooolpaaak marzeniami luuubi – zwierzył się Kołpak i przekrzywił głowę, a wiszące mu na uszach plecaki kiwały się, gorliwie potakując.

Teraz do głosu doszedł czarno-biały stateczek o nazwie „Maszoperia” zacumowany przy trzecim pachołku. Najwyraźniej statki odzywały się w ustalonej kolejności. I znów jego wypowiedź przypominała znaną marynarską przyśpiewkę, choć statek nie śpiewał, tylko zgrzytliwie mówił:

– Byłem dzikim włóczęgą przez tak wiele dni, przepuszczałem pieniądze na baby i dżin...

– Już nie wrócisz na morze – stwierdził „Helios Hel”.

– Nigdy więcej, o nie! – dodał „Kapitan Morgan”.

– Wreszcie koniec włóczęgi – pisnął niewielki kuter o imieniu „Hel-6”.

– Na pewno to wiem... – skwitował „Maszoperia”.

I stateczki znów westchnęły smutno.

– Żal mi ich – szepnęła Florentyna.

– Mnie też, i to bardzo, ale czy możemy już zejść na ląd? – dobiegło ją miauknięcie z wnętrza plecaka.

Irusia podpłynęła do brzegu i jej pasażerowie zaczęli gramolić się na betonowe nabrzeże. Tymczasem stateczki popadały w coraz głębszą melancholię.

– Gdy nad gdyńskim portem zaświeci nam słońce po długim, zimowym śnie... – zaczął niemrawo „Helios Hel”, a „Kapitan Morgan” dokończył smętnie:

– Rozkwitną znów białe żagle u rej...

– Wietrze wiej im, o hej – pisnął cienko „Hel-6”, a że nie było chyba nic więcej do powiedzenia, dodał po chwili: – Tak że no. Statki zamilkły.

– A pamiętacie K-18 „Bryzę”? – ożywił się „Maszoperia”.

– Cześć jego pamięci! – wykrzyknął „Hel-6”.

– Czeeeeść! – wtrącił znienacka Kołpak i pomachał ręką, bo Florentyna nauczyła go, jak uprzejmie odpowiadać na pozdrowienia.

– To była wspaniała łajba – dodał „Kapitan Morgan”.

– Oj taaak.

– Niezapomniana.

Gdzieś spod wody dobył się bulgotliwy sprzeciw:

– Ej, koledzy! Ja tu jestem!

– Oby tam daleko, gdzie teraz przebywa, wody były spokojne... – rzekł z powagą Helios Hel, jakby nie usłyszał.

– Ahoj tam na górze! – dało się słyszeć z głębiny. – Ja tutaj jestem! To ja, K-18 „Bryza”! Pod wodą! Pod wami, koledzy!

– Niech spoczywa w pokoju – mruknął „Kapitan Morgan”.

– Cześć jego pamięci – westchnął „Hel-6”.

– Czeeeeść – wtrącił Kołpak i pomachał.

– Ale koledzy! No weźcie! Znowu będziecie udawać, że mnie nie ma?? Mnie to już nie bawi! Wcale a wcale! – marudził głos z dna. – I co z tego, że mnie zatopili? W końcu wszyscy będziecie wrakami!

– Niech mu woda lekką będzie – skwitował smutno „Maszoperia”.

– Słyszałem to! – zabulgotał rozzłoszczony K-18 „Bryza”. – Wszystko słyszę! Więc lepiej stulcie dzioby, wy dziurawe krypy, bo jak nie, to...



Flora, Kołpak i reszta nie usłyszeli, co też zrobi kolegom zatopiony K-18 „Bryza”, bo zdążyli oddalić się od nabrzeża. Irusia chciała odprowadzić ich kawałeczek, więc przyjęła postać polnej myszki i wgramoliła się do betoniarki tuż obok Kwiatu Poznania. Była bardzo podekscytowana.

– A wolno mi spytać, miły kwiatuszku, w jaki sposób pan raczy połączyć nasze tragicznie rozdzielone światy?

– Ja... No... Znaczy, psze pani, wydám owoce i potem, no ten, yyy... będę miał nasiona, no takie Nasiona Widzenia, znaczy Poznania... – Kwiat zestresował się tym pytaniem i, choć nigdy nie chodził do szkoły, poczuł się jak nieprzygotowany uczeń na kartkówce. Bo właściwie nie znał szczegółów swojego zadania. Wiedział tylko, że musi wydać nasiona. Samo to tak go stresowało, że postanowił na razie o tym nie myśleć.

– No tak, tak, tak, kwiatuszku, oczywiście... – zgodziła się Irusia, przycupnięta tuż przy łodydze. Jej białe wąsiki łaskotały Kwiat. – Ale chodzi mi o to, w jaki sposób później rozsiej pan te nasionka w snach wszystkich ludzi? Bo przecież z tego, co się orientuję, musi je pan rozsiać, a ludzi na ziemi jest o ho, ho i jeszcze trochę, nie mam racji?

– No dokładnie... – odpowiedział niepewnie Kwiat. – O ho, ho i jeszcze trochę ich jest, właśnie tyle. To znaczy, no, chyba po prostu będę miał te nasiona i potem wiadomo... jakoś to będzie.

– Jakoś to będzie...

– W sensie, no, się zobaczy.

– Się zobaczy – powtórzyła Irusia i zmarszczyła nosek. – No tak, tak. Oczywiście. Ale na pewno panna Florentyna i jej cudny chłopiec mają na to jakiś plan.

Florka uciekała przed bystrym spojrzeniem myszki. Nie miała planu i w ogóle nie myślała o nasionach ani ponownym połączeniu ich świata i Animarium. Najważniejsze to przywrócić do świata Leo. Realnego, Animarium, obojętnie którego. Zerknęła na przyjaciela. Szedł obok niej z zamglonymi oczami, szurając nogami jak zombie. Jak już się wreszcie obudzi, na pewno się ucieszy, kiedy się dowie, że był zombiakiem. Zaraz dotrą do Burej Mistrzyni, a ona wszystko naprawi. Hipolita ruszyła przodem, nie czekając na resztę, i pewnie leży teraz rozparta w jednym z miękkich foteli w przytulnym salonie. Lub w kuchni na zapiecku.

Rozmyślania dziewczynki przerwał pisk myszy.

– Stop! – zawołała Irusia i zastrzygła uszkami. – Coś słyszę! O rety, rety! Ktoś woła o pomoc!

Zatrzymali się i nasłuchiwali. Po chwili do ich uszu doszło głębokie dudnienie, trochę jak śpiew operowy, jeśliby solistkę zamknąć w słoiku. Melodia była rozpaczliwa i żalosna, Flora poczuła ciarki na plecach.

– Co to? – szepnęła przejęta.

– To ktoś z moich, ktoś z moich, prędko, prędziutko, tam! – powtarzała rozgorączkowana Irusia.

Pobiegli. Zawodzenie było coraz głośniejsze i Flora uświadomiła sobie, że tak przecież brzmią pieśni wielorybów. Ale czemu głos dochodził z plaży? Czy zaraz ujrzą wielkie wielorybie

cielsko wyrzucone na brzeg? I co wtedy? Florentyna nawet bez olbrzyma w opałach miała sporo na głowie.

Kołpak posadził sobie Leo na barana i przytrzymał go ramieniem. Chłopiec siedział sztywno i patrzył gdzieś za horyzont. Ciekawe, czy cokolwiek widział. Jeszcze w Gdyni odzywał się czasem, mówił właściwie tylko, że mu zimno, a raz wyszeptał: „Koniec”, choć tak cicho, że Flora nie miała pewności, czy to rzeczywiście było to słowo. Ale teraz zamilkł, tylko co jakiś czas z głośnym świstem wciągał powietrze lub szczekał zębami. Florce brakowało ich codziennych sprzeczek i wygłupów. Tak mocno tęskniła do przyjaciela, że były chwile, gdy nie mogła tego znieść. A od jego przemiany minęło raptem kilka godzin. Ile to jeszcze potrwa?

Niedługo, obiecała sobie kolejny raz w myślach i rozejrzała się po plaży.



ZEFOWO, ja to bym tego nie ruszał – mruknął Lo Zaino, a jego małżonka energicznie mu przytaknęła.

– Co żyło i umarło, nie należy do naszego świata – dodała.

– Ani waszego – doprecyzował Lo Zaino.

Stali wszyscy na końcu helskiej plaży w Parku Wydmowym i gapili się z zaciekawieniem na dwudziestometrowy szkielet. Głowa rozmiarów Fiata Cinquecento Czajki rzucała się na lewo i prawo, waląc w ściany szklanego pawilonu, w której była uwięziona. Wielka czaszka raz po raz rozwierała szczęki z trupiobrazowymi, przypominającymi włosy umarlaka resztkami fiszbinów. Kości płetw, spękane i nadziane na druty, z gruchotem uderzały o żebra, a potężne gnaty kręgosłupa sterczące jak makabryczny grzebień waliły w co popadnie, z każdym ciosem wprawiając w drżenie piasek na plaży. Kostny potwór wydawał przy tym z siebie dźwięki tak głośne, że Florentyna musiała zatkać uszy.

– Czego on chce? – zawołała.

– Spróbuję się dowiedzieć! – krzyknęła Irusia i dała nura w piasek przy szybie.

Parę sekund później zastrzygła uszami z wnętrza. Florentyna patrzyła z przerażeniem, jak myszka wspina się po kości szczęki i znika w nozdrzu płetwala. Kołpak drgnął, gotów na jedno skinienie dziewczynki rozwalić pancerne szkło i wydostać Irusią, ale Flora powstrzymała go ruchem ręki.

– Nie pooomóóóć? – zdziwił się.

– Poczekajmy – poprosiła Flora.

Stali tak i patrzyli, jak gigantyczny kościotrup miota się wewnątrz pawilonu. Irusi nie było widać, ale po chwili szkielet nieco się uspokoił i zniżył tubalne arie do dudnienia. Flora uznała więc, że zaczynają się tam w głębi jego czaszki dogadywać. Rzuciła okiem na rozstawione tu i ówdzie tablice informacyjne. Wyczytała z nich, że w gablocie znajduje się szkielet finwala, czyli płetwala zwyczajnego, który parę lat wcześniej wypłynął martwy blisko Zatoki Puckiej. Naukowcy zabezpieczyli nieżywego biedaka, a potem wypreparowali z niego szkielet. Który teraz miotał się wściekle za szybą. Flora doszła do wniosku, że jednak wołałaby ujrzeć wyrzuconego na brzeg wieloryba, wszystko byłoby wtedy odrobinę mniej dziwne. W końcu, kiedy prawie zwątpiła, że zobaczy jeszcze myszkę całą i zdrową, ta wynurzyła się z oczodołu finwala, zbiegła po szczęcie i zniknęła w dziurce, którą weszła. Gdy pojawiła się z drugiej strony, otrząsnęła się i wskoczyła na wyciągniętą dłoń Florentyny.

– On chce wyjść – powiedziała rzeczowo. – A my mu w tym pomożemy.

– O, nie, nie, hola, hola! – zaprotestowała zawieszona na uchu Kołpaka La Zaina. – On, czyli kto? Bo na animanta mi on nie wygląda.

– Tak, z tego co wiem, animanty są w miazdzącej większości przypadków żywe – zauważył Lo Zaino.

Szkielet płetwala znieruchomiał, pewnie nasłuchiwał.



© Copyright by Malina Prześluga-Delimata, 2026
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, 2026.

ISBN 978-83-8150-726-4
Wydanie I

wydawnictwodwiesiostry.pl

ilustracje i projekt okładki: Urszula Gireń
redakcja: Dominika Cieśla-Szymańska
korekta: Jolanta Gomółka
skład i przygotowanie do druku: Luiza Grabowska
druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.
ul. Stefana Jaracza 2
00-378 Warszawa

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy do kontaktu z działem handlowym (marketing@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).



Niewiódź, Znikania,
a może TużTuż? Nieważne,
jak się nazywa to miejsce –
najważniejsze, żeby tam dotrzeć!
W drugim tomie porywającego cyklu
Flora i Leo trafiają do ukrytego
miasta, a przeszłość Animarium
odśłania swoje tajemnice.

Świetnie, po prostu same sukcesy:
Leo stał się Zimnym, ponagleńcy
depczą im po piętach, a Kwiat Poznania,
który ma ocalić świat, nie ma zielonego pojęcia,
jak miałby to zrobić. Cała nadzieja w Znikanii,
tajnym azylu dla mieszkańców Animarium.

Ale czy na pewno można czuć się tam
bezpiecznie? Jak uleczyć Leo?

I właściwie jak to się stało, że oba światy
zostały kiedyś rozdzielone?

Drugi tom „Animarium” to nie tylko
zachwycająca fantazją powieść przygodowa,
lecz także opowieść o empatii,
przyjaźni i odwadze.

Zacznij od I tomu:



Książka dostępna także jako e-book.

ISBN 978-83-8150-726-4



9 788381 507264 >

wydawnictwodwiesiostry.pl